

MIECZYŚLAW RYSIŃSKI

W Sulejowie, jak w soczewce, ogniskowały się wszystkie problemy walki i męczeństwa Polaków i Żydów w okupowanym kraju. Większość mieszkańców Sulejowa, podobnie jak wielu miast środkowej i wschodniej Polski, stanowiła ludność żydowska. Wojna wtargnęła tu w pierwszych dniach września na skrzydłach eskadr niemieckich samolotów. Niemieckie lotnictwo zrujnowało miasto prawie doszczętnie, pozostawiając pod gruzami i na ulicach ponad tysiąc śmiertelnych ofiar. W czeluściach płonącego miasta najbardziej ucierpiała społeczność żydowska, zamieszkała w środkowej części Sulejowa. Miasto było tak zniszczone, że Niemcy nie mogli utworzyć w nim getta. Od pierwszych dni okupacji hitlerowcy przystąpili do terroryzowania i mordowania pozostałej przy życiu ludności. Szczytem szalejącego terroru były masowe aresztowania i wywożenie mieszkańców miasta (głównie rwącej się do walki młodzieży) do obozów śmierci oraz zapędzenie do Piotrkowa i wywiezienie stamtąd w październiku 1942 r. ok. dwóch tysięcy żyjących jeszcze sulejowskich Żydów do Treblinki. Powędrował do Piotrkowa w jednej z kolumn mój przyjaciel Josek Rozenzwajg [Rosenzweig]. Widziałem go, jak w zbitym i popędzanym przez hitlerowców tłumie podążał truchcikiem u boku matki. Żegnając w tych niezwykle okolicznościach przyjaciela, który mieszkał wraz z rodziną po sąsiedzku, nie przypuszczałem, że rozstaję się z nim na zawsze. List, który obiecał mi wysłać z nowego miejsca zamieszkania, nigdy do mnie nie dotarł.

Już w pierwszych miesiącach okupacji Sulejów nawiedziła szarańcza SS-manów, a później własowców i wszelkiego autoramentu skośnookich Azjatów w niemieckich mundurach. Ta faszystowska dzicz ulokowała się w szkołach, budynku straży pożarnej oraz domach wymordowanych Żydów. Swoją obecność w mieście manifestowali śpiewaniem tej samej, drażniącej ucho melodii, grabieniem mieszkańców z resztek dobytku, gwałceniem kobiet oraz tropieniem ludzi związanych z ruchem oporu i ukrywających się Żydów.

Moja rodzina i krewni żyli w nieustannej obawie o własne życie. Rodzinna wieś mojej matki, będąca obecnie jedną z peryferyjnych ulic Sulejowa, stała się bowiem bazą całych zastępów partyzanckich i schronieniem dla ściganych przez hitlerowców Żydów. Wszyscy mieszkańcy owej wsi Obdzież byli ze sobą spokrewnieni, jako że należała ona niegdyś do jednej rodziny Balińskich.

Na skraju Obdzieża, tuż przy drodze wiodącej do lasów ziemi kieleckiej i tomaszowskiej, stała od czasów piastowskich drewniana kapliczka. Po zakończeniu wojny pojawiła się na jej miejscu figura Matki Boskiej, wyrzeźbiona w kamieniu szydłowieckim. Z kilku zdań wyrytych na postumencie owego pomnika przechodzień dowiaduje się, że rzeźbę ufundował Jan Jerzy Pański, znany piotrkowianin żydowskiego pochodzenia. Wyraził on w ten sposób swoją wdzięczność rodzinie Balińskich za zapewnienie jemu i jego córce (Urszula Marcinkowska-Koehler, zam. [w] Warszawie [...]) schronienia i ocalenie życia. Po wojnie m.in. na mój wniosek Yad Vashem uhonorował trzy osoby z rodziny Balińskich medalami i dyplomami Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Nieopodal Obdzieża, we wsi Przygłów, ukrywała się Zofia Zaks wraz z matką i kilkoro dzieci żydowskich. Dzięki pomocy Polaków Zofia przeżyła wojnę, zajęła się pracą naukową i społeczną. Była ona m.in. organizatorką i przewodniczącą stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu”.

Pojawiająca się często w krajach zachodnich opinia, że Polska w czasie wojny stała się krajem szmalcowników i antysemitów, wywołuje we mnie natychmiast odruch protestu. Moje spostrzeżenia i okrutne doświadczenia wojenne upoważniają mnie do stwierdzenia, że osoby głoszące podobne opinie nie mają zielonego pojęcia o realiach życia w okupowanej Polsce

lub przypadkowym faktom nadają rangę problemów i krzywdzących naród polski uogólnień. Możliwość pojawienia się w Polsce na skalę powszechną zjawiska szmalcownictwa i kolaboracji wyklucza nienawiść, jaką Polacy żywili do okupantów. Hitlerowskie władze okupacyjne, oddzielone od społeczeństwa polskiego murem nienawiści, korzystały przede wszystkim z pomocy jawnych i ukrytych miejscowych volksdeutschów oraz całkowicie zdegenerowanych osobników, spełniających rolę tajnych agentów i prowokatorów. Wszelkiego rodzaju kolaborantów zwalczało zdecydowanie potężne polskie podziemie. Moją opinię w omawianej sprawie potwierdza w pełni fakt, że o miejscach ukrywania się Żydów w rejonie Sulejowa wiedzieli wszyscy mieszkańcy wsi i wielu sulejowian, a mimo to nie pojawił się wśród nich żaden szmalcownik ani donosiciel. W skali całego kraju odnotowywano oczywiście przypadki donosicielstwa i szmalcownictwa, ale czynów tego rodzaju dopuszczali się jednostki wyłącznie z marginesu społecznego.

W 1943 r. gestapowcy, wspomagani przez własowców, przystąpili do budowy obozów pracy dla Polaków, Żydów i jeńców radzieckich. Obóz dla Żydów usytuowali na dużym

placu, okalającym wygaśły piec wapienniczy. Nad parkanem obozu rozciągnęli zwoje drutu kolczastego, w narożnikach ustawili budki wartownicze, a obok w rzeźni miejskiej ulokowali posterunek gestapo i coś w rodzaju kuchni dla więźniów. Więźniów stłoczyli w starych stajniach, magazynach i dużej murowanej stodole. Ustawione wokół obozu tablice zawierały krótki tekst rozporządzenia szefa gestapo, zabraniający Polakom kontaktowania się z Żydami pod groźbą kary śmierci.

Budowa obozu zainteresowała żywo oficera kontrwywiadu 25 Pułku Armii Krajowej, Stanisława Cichosza, byłego żołnierza oddziału Hubala. Stanisław Cichosz (był strzelniczym jednego z dwu ckm-ów w oddziale Hubala) wraz z innymi hubalczykami, m. in. Czesławem Morusiem i Marianem Kuczerą, znaleźli partyzancką kryjówkę w gościnnym domu moich dziadków i siostry mojej matki. Kuczerę i Morusia rozpoznał i aresztował w Sulejowie ich kolega ze szkolnych lat, Niemiec z pochodzenia, który na krótko przed wybuchem wojny zniknął z Tomaszowa, a w czasie okupacji wrócił w charakterze szefa tomaszowskiego gestapo. Stanisław Cichosz był również ścigany przez owego gestapowca, ale zanim zginął w walce, zlikwidował wielu hitlerowców i ich *treuhänderów*. Stanisław traktował mnie jak młodszego brata. Posługiwał się pseudonimem „Szczupak”, a my nazywaliśmy go po prostu Stachem. Ponieważ moi rodzice zamieszkiwali w Sulejowie nieopodal obozu, Stach prosił mnie, abym uważnie, ale dyskretnie śledził wszystko, co działo się wokół niego. Przekonany, że Stach powierzył mi jakieś niezwykle ważne zadanie, wykorzystywałem każdą wolną chwilę, aby z ukrycia w stosach tartaczego drzewa (obok obozu były dwa tartaki, należące niegdyś do rodzin żydowskich) obserwować uważnie więzienne „porządki” i rejestrować makabryczne sceny maltretowania więźniów.

Każdego dnia w godzinach rannych wyprowadzano kolumny więźniów w rejony sulejowskich kamieniołomów. Wykorzystywano ich do kopania okopów i budowy umocnień. W drodze do i z pracy towarzyszyli więźniom gestapowcy i wlasowcy z owczarkami alzackimi. Widok wychudzonych, obszarpanych i bitych więźniów budził grozę. Wielu z nich padało na ziemię. Do leżących podbiegali natychmiast nadzorcy, dobijając ich na miejscu. Ciała mordowanych wrzucano do wlokących się za kolumnami wozów i grzebano w rejonie kamieniołomów lub na starym cmentarzysku żydowskim w pobliżu obozu.

Po powrocie z kamieniołomów utrudzeni ludzie ustawiali się w długie kolejki po gorący wywar z liści buraków pastewnych. Podążając gęsiego do kuchni między dwoma szpalerami

służby obozowej uzbrojonej w długie kije, każdy więzień otrzymywał razy w pochylone plecy lub tył głowy. Bieg do kuchni odbywał się w miarę sprawnie, natomiast w drodze powrotnej działy się makabryczne sceny. Pędzeni i bici więźniowie z naczyniami wywaru przy ustach wylewali wrzątek na własne twarze i ziemię. Z rozlewanych liści buraczanych tworzyła się warstwa śliskiej, błotnistej mazi, zmieszanej z ludzką krwią. Niejeden człowiek z poparzoną twarzą padał w błocko i pozostawał w nim, dobijany kijami bądź strzałami z pistoletów. Będąca zawsze w pogotowiu służba obozowa wrzucała zmasakrowane, często jeszcze drgające, ciała na stojącą w pobliżu platformę i pod nadzorem własowców wywoziła na pobliski kirkut. Wraz z wydaniem ostatniego „posiłku” pojawiała się na tym pobojuwisku grupa więźniów, pośpiesznie usuwająca ślady krwawej „młocki”.

Dwa razy w tygodniu wyprowadzano więźniów do „kąpieli” w płytkim rozlewisku Pilicy. Nagich, straszliwie wychudzonych ludzi, z resztkami brudnych łachmanów w rękach, wpędzano do wody poniżej kolan, gdzie obmywali się i wytrzepywali zawszoną odzież. Na powierzchni wody pojawiała się zawsze szara warstwa drobnego, wszawego robactwa. Spływające na bardziej wartki nurt rzeki wszy stanowiły smakowity pokarm dla całych ławic płotek i innych ryb. Ryby tak łakomie pożerały owo robactwo, że w miejscu płynącej szarej plamy woda bulgotała jak w wielkim kotle. Stojący na brzegu rzeki uzbrojeni własowcy i gestapowcy, patrząc na niesamowite widowisko, rechotali. Po takiej kąpieli hitlerowscy nadzorcy z rykiem i biciem zapędzali więźniów do zawszonych pomieszczeń obozowych.

Stach z wielkim zainteresowaniem wysłuchiwał moich relacji i spostrzeżeń. Któregoś dnia zameldowałem mu, że grupa więźniów, nadzorowana przez dwóch własowców uzbrojonych w pistolety maszynowe, zastępuje konie w dowożeniu do obozu beczkowitzem wody czerpanej z rzecznej zatoki, osłoniętej kępami gęstej wikliny. Zauważyłem, że informacja ta zainteresowała go bardziej niż inne moje doniesienia. Wkrótce po przekazaniu Stachowi tej wiadomości, pojawiać się zaczęli w rejonie zatoczki dwaj młodzi wędkarze. Kojarząc pewne fakty, doszedłem do przekonania, że byli to ludzie z organizacji podziemnej, którzy z polecenia Stacha pozyskali do współpracy obu własowców nadzorujących wozowodów. Zwerbowanie ich pozwoliło Stachowi nawiązać bezpośrednie kontakty z więźniami i wykorzystać beczkowóz jako środek potajemnego zaopatrywania więźniów w żywność i leki.

W rezultacie wielu rozmów instruktażowych ze Stachem stałem się organizatorem i dostarczycielem żywności i lekarstw woziwodom. Do akcji włączyło się kilku moich przyjaciół:

Henryk Gołdyn, Stefan Wieczorek, Marian Komidaj i Henryk Jakubczyk. Dostarczane produkty więźniowie wiązali w ceratę i wkładali górnym otworem do wypełnionej wodą beczki. Ładunek przesuwali kijem w tylną bądź przednią część zbiornika, aby uniknąć łatwego wykrycia go przez wartowników w bramie obozu.

Wykorzystywanie beczkowozu do niesienia pomocy więźniom trwało kilka miesięcy, do chwili ucieczki zespołu wozowodów wraz z własowcami do kieleckich lasów. Zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami z szefem ekipy wozowodów (przedstawił mi alternatywny plan przemykania żywności do obozu na wypadek przerwania dostaw wody beczkowozem), podjęliśmy się ryzyka dostaw chleba w pobliże kilku domów przy ul. Błonie, usytuowanych w odległości ok. 25 m od parkanu obozowego. Tam oczekiwaliśmy za węglem jednego z domów do chwili odwrócenia się wartowników plecami w naszą stronę. Wtedy właśnie podbiegaliśmy szybko do więziennego parkanu i przerzucaliśmy chleb na teren obozu. Zachowanie się wartowników stanowiło dla mnie dowód ich współpracy z obozową organizacją konspiracyjną.

Powodzenie pierwszych wypraw pod mury obozu tak nas zafascynowało i dodało tyle odwagi, że wpadliśmy niepostrzeżenie w rutynę, tracąc wyczulenie na czyhające niebezpieczeństwo wpadnięcia w pułapkę zastawioną przez gestapo. Pewnego dnia poczułem bardzo wyraźne ostrze miecza Damoklesa na własnym karku, gdy zbliżając się do obozu z workiem chleba na plecach, usłyszałem nagle ujadanie szefa gestapo. Wyszedł na spotkanie ze mną z nierozłącznym przyjacielem, wytresowanym w przegryzaniu ludzkich gardeł owczarkiem alzackim, który, spełniając polecenie swego pana, dopadł mnie kilkoma susami, nie pozwalając mi wykonać żadnego ruchu. Jego pan zbliżył się do mnie, wyrzucił z siebie z plwociną jakieś niemieckie przekleństwa i popędził mnie na posterunek gestapo przy obozie. Tam zirytowany gestapowiec wepchnął mnie do niewielkiego pokoju, w którym za biurkiem rozpierał się sprzedawczyk sulejowskiej organizacji konspiracyjnej, znany przed wojną z wypisywania na murach domów hasel w rodzaju: nie kupuj u Żyda, precz z żydokomuną itp. Tym razem spełniał rolę tłumacza.

Obaj faszyci wymienili ze sobą kilka zdań po niemiecku, po czym gestapowiec chlasnął mnie szpicrutą i począł wrzaskliwym głosem pytać, z czyjego polecenia utrzymuję kontakty z Żydami. Jego pomocnik zaś robił groźne miny, kopał mnie w kostki bosych nóg i żądał natychmiastowej odpowiedzi na zadawane mi pytania. Obijany i poszturchiwany uparcie

powtarzałem, że chleb był przeznaczony dla kolejarzy, których Niemcy spędzili z całego okręgu piotrkowskiego w celu budowy zapory na Pilicy za Sulejowem. Gestapowiec nie dawał wiary tym wyjaśnieniom, bo po każdej mojej odpowiedzi wrzeszczał i smagał mnie po twarzy. Jego pomocnik zaś ostrzegał mnie, że swoim oślim uporem zmuszam szefa do rozwalenia mojego głupiego łba przed bramą obozu.

W chwili mocnego poirytowania gestapowca zjawił się nieoczekiwanie na posterunku *führer* nazistowskiej organizacji zrzeszającej miejscowych *volksdeutsche*ów. Osobnika tego znałem, gdyż przed wojną pracował wraz z moim ojcem przy tym samym piecu wapienniczym. Odetchnąłem chwilowo z ulgą, ponieważ trzech faszystów, odwróceniu do mnie plecami, prowadzili bardzo ożywioną rozmowę. W pewnym momencie zdecydowałem się na desperacki skok przez nieco uchylone drzwi na wąski korytarzyk, z którego jednym susem wylądowałem na brzuchu przed wejściem do posterunku gestapo. W panicznym strachu zerwałem się z ziemi i, nie oglądając się do tyłu, popędziłem na sąsiadujący z obozem plac tartaczny, gdzie jak kret wryłem się pod potężne kłody sosen.

Moje szczęśliwe wybrnięcie z opresji Stach uznał za opatrnościowe zrządzenie losu i powód do radości. Poleciał przerwać utrzymywanie kontaktów z więźniami, aby nie narażać mnie i moich przyjaciół na utratę życia. Podejrzewałem, że schwytanie mnie przez gestapowca było wynikiem podłej denuncjacji, a pozostawienie uchylonych drzwi przez byłego kolegę mojego ojca było zabiegiem celowym (zbliżała się nieuchronnie klęska Niemiec hitlerowskich, miał prawdopodobnie na uwadze własny interes), stwarzającym mi szansę wymknienia się z zastawionej pułapki.

Zbliżał się 1945 r. Wieści z wojennych frontów zwiastowały rychłą klęskę Niemiec i upragniony koniec wojny. W Sulejowie i okolicach ożywiła się działalność oddziałów partyzanckich. Żydów więzionych w sulejowskim obozie pośpiesznie wywożono, mordowano i grzebano w lasach. Dość liczną grupę więźniów, wykorzystywanych w charakterze grabarzy współtowarzyszy niedoli, hitlerowcy wystrzelali na skraju mogiły, którą sobie sami wykopali blisko starego, zniszczonego przez Niemców żydowskiego cmentarzyska. Jeńców radzieckich zapędzono zaś do rozbiórki murów tego cmentarza, rozbijania macew i wywożenia gruzu na budowę zapory wodnej. Święte miejsce pochówku wielu pokoleń Żydów sulejowskich rozkazano zaorać, aby zatrzeć ślady zbrodni i widome znaki wielowiekowej egzystencji społeczności żydowskiej w Sulejowie.

W mieście byłem już rzadkim gościem, zadomowiłem się niemal na stałe w rodzinnej wsi mojej matki. Ciągle nagabywałem Stacha, aby umożliwił mi wstąpienie do oddziału partyzanckiego. Przekonywał mnie, że [nie] widzi potrzeby, abym tuż przed zbliżającym się końcem wojny igrał bardziej niż dotychczas ze śmiercią. Wierzył, że będziemy wspólnie święcić upragniony dzień zwycięstwa. Nadzieja zbliżającej się wolności wzmacniała w nim pragnienie poślubienia mojej ciotecznej siostry Jadwigi.

Zły los zniweczył jego ludzkie pragnienie życia. Na kilka tygodni przed wyzwoleniem Sulejowa poległ w nierównej walce z faszystami we wsi Prucheńsko nieopodal Sulejowa. Spoczął na zawsze w bezimiennej kwaterze żołnierskiej, gdzieś w zagubionej wsi ziemi opoczyńskiej. W moim sercu i sercach wielu przyjaciół pozostał uosobieniem człowieczej dobroci, mądrości i umiłowania własnego kraju.

Wkrótce po wyzwoleniu Sulejowa przez armię radziecką, do spopielonego miasta wkroczyło Wojsko Polskie. Zjawienie się w Sulejowie polskich żołnierzy stało się dniem przełomowym w moim życiu. Postanowiłem wówczas związać na zawsze swój los z wojskiem.

M. Rysiński